

GŁOS KATOLICKI

TYGODNIK WYCHODZTWA

21 (730)

NIEDZIELA 26 maja 1974

ROK XVI

Matka Czacka w oczach przyjaciół

Poniżej drukujemy obszerny fragment artykułu Janiny Doroszewskiej o Matce Elżbiecie Czackiej, założycielce zakładu dla niewidomych w Laszkach pod Warszawą i Zgromadzenia Sióstr Franciszkanek Służebnic Krzyża. Artykuł ukazał się w polskim miesięczniku „Więź”.

Mówić o Matce — trzeba mieć odwagę. Co mi tę odwagę daje? Przede wszystkim wielką wdzięczność, jaką mam dla Matki. Wdzięczność ta każe mi dziś, w jej święto, choć tak te moje uczucia uzewnętrznic: swoją odwagę mówienia o sprawach tak niewyraźnych, jak jej postać.

Bo Matka odwagę ceniła w ludziach. Sama była taka odważna. Całe jej życie, każda chwila — to była odważna, świadoma realizacja tego zobowiązania, jakie podjęła jako młoda dziewczyna — wtedy, w ciągu tych trzech dni, jakie spędziła sama jedna w swym pokoju po dowiedzeniu się o wyroku: że będzie niewidomą.

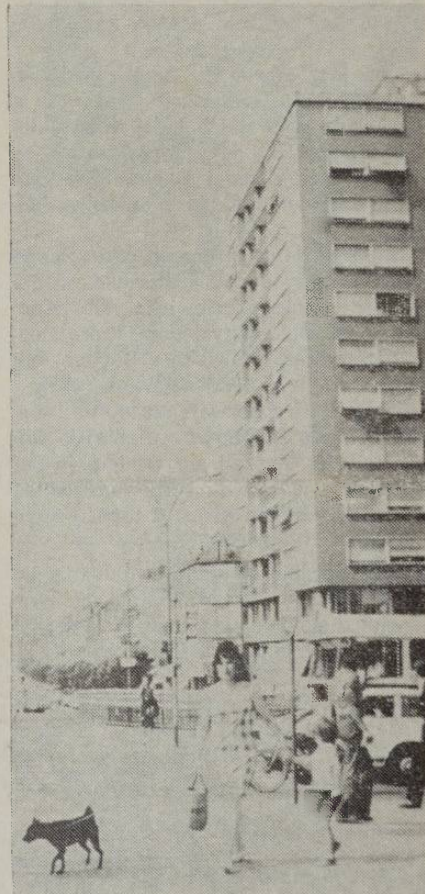
Jakże dobrze pamiętam — zdaje mi się, że słyszę głos Matki — głos przepełniony wdzięcznością dla lekarza, który jej ten wyrok jasno i wyraźnie sformułował. „Inni lekarze — mówiła Matka — nasi i zagraniczni, do których mnie wożono, łudzili nadziejami, że wzrok da się odzyskać. Ale on jeden tylko, dr Gepner, rozumiał, jak ważną rzeczą było jasno powiedzieć: „nie będzie pani widziała. Jeszcze tylko może jakieś trzy miesiące”... Pamiętam dobrze, że po usłyszeniu tego wyroku zamknęła się na trzy dni w swoim pokoju, nikogo do siebie nie wpuszczając. „A potem — opowiadała dalej swoim jasnym, pogodnym głosem — otworzyłam drzwi i powiedziałam swojej „pannie służącej”: pakujemy się i jedziemy za granicę — muszę się nauczyć, jak trzeba się opiekować niewidomymi”.

„Tak, jak dr Gepner był moim wielkim dobroczyńcą — powtarzała Matka — tak największym moim szczęściem jest to, że zostałam niewidomą. Cożby ze mnie było, gdyby nie to kalectwo? Jakie byłoby moje życie bez niego?” Ale o tym, jakie walki toczyła z sobą przez te trzy dni zamknięcia w samotności ta młoda dziewczyna rozpoczynająca życie, przyzwyczajona przez wychowanie do komfortu, do zaspokajania wszystkich swych potrzeb zamożnego życia... o tym nie wspominała. A pomyśleć, ile musiała wykrzesać z siebie odwagi tak uderzona młoda dziewczyna, żeby tak całkowicie przez te dni szamotania się ze swym nieszczęściem wyjść z tej walki z jasną twarzą i rozpocząć na nowo życie? Życie, którego owoce dziś tutaj świętujemy.

Kiedys przeczytałam słowa Jana XXIII, że pragnie dla siebie osiągnąć, jak się wyraził, „siłę odważnej prostoty”. Taką właśnie siłę odważnej prostoty miała w sobie Matka. Była odważna odwagą i prostą prostotą człowieka, który oddał każdy swój gest, każde słowo, każdą myśl — sobie nic nie pozostawiając. Matka była silna tym swoim odważnym ubóstwem — tymi poranionymi na mrozie bosymi stopami, o których mówi w pięknych wspomnieniach o Matce siostra Teresa Landy, chodząca z nią na kwestę pieszo do Warszawy, w pierwszych latach powstania Zakładu. Potem nie było tego chodzenia pieszo, były już autobusy na szosie. Ale wspomnienie okaleczonych na mrozie bosych nóg franciszkańskich tego chorego człowieka (bo był to człowiek prawie stale poważnie chory) — stały się jakby symbolem tego, co zamożna hrabianka z wielkiego domu porzuciła, żeby służyć niewidomym — tak całkowicie.

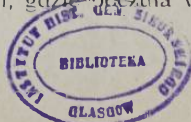
Była w tej swojej odwadze i zdecydowaniu twarda i nieugięta — jak wszędzie tam, gdzie przelała wagę słu-

szej sprawy. Taka była w stosunku do siebie. Ale w stosunku do ludzi była miękka i tkliwa — takim chyba słowem, dziś już zapomnianym, można to nazwać. Ale nie tkliwością litości — zbyt dużo obcowała w świecie upośledzonych, aby mogła litość tolerować — ale tkliwością zrozumienia. Bo Matka, patrząc na ludzi, wielu z nich widziała (Dokończenie na str. 9)



26 MAJA 1974

DZIEŃ MATKI



WYMIANA
BIBLIOTEKA POLSKA POKS
LONDYN

Aby wszyscy stanowili jedno

Słowa arcykapłańskiej modlitwy Chrystusa, wypowiedziane w przeddzień śmierci, są Jego uroczystym testamentem, ostatnim życzeniem: „Ojczye Święty... aby wszyscy stanowili jedno”. Chrystusowi chodzi o jedność nie byle jaką, ale o jedność, jaką On tworzy ze swym Ojcem i Duchem Świętym: jedność Boga Trójosobowego

Miał na myśli wszystkie pokolenia i wieki. Myślał o nas, o Kościele naszych czasów kiedy prosił swego Ojca: „Ojczye Święty, proszę nie tylko za nimi (apostołami), ale i za tymi, którzy dzięki ich słowu będą wierzyć we Mnie”. Modlił się za nas: „aby oni stanowili jedno w Nas, aby świat uwierzył, żeś Ty Mnie posłał”. Chrystus pragnie, aby wszyscy ludzie uczestniczyli w miłości, jaką Ojciec kocha swego Syna. Na tym właśnie polega życie wieczne.

Taki jest odwieczny plan zbawienia. Jezus Chrystus, ofiarując swe życie z miłości do wszystkich ludzi, wszystkim otworzył drogę do uczestniczenia w miłości Ojca, Syna i Ducha Świętego. Tak urzeczywistnia się prawdziwa jedność.

Niestety, istnieje grzech, który łamie jedność, który oddala człowieka od Boga i od drugiego człowieka. Biblia podaje nam wiele przykładów, które ilustrują zerwanie człowieka z Bogiem, oddalenie człowieka od człowieka.

Adam i Ewa zerwali łączność z Bogiem, bo nie starczyło zaufania do Boga i miłości. Zaczęli się wzajemnie oskarżać: „Niewiasta, którą postawiłeś przy mnie, dała mi owoc z tego drzewa i zjadłem” (Rodz 3, 12).

Kain morduje swojego brata Abela, bo mu zazdrościł. Przed Bogiem zaś wymawiał się: „Nie wiem gdzie jest mój brat... Czyż jestem stróżem brata mego?” (Rodz 4, 9).

Zarozumiali i pyszni budowniczo wieży Babel zerwali jedność z Bogiem opanowani pychą. I pomieszały się ich języki, rozeszli się więc i rozproszyli po całej ziemi.

Inaczej postępują przyjaciele Boga. Iżajasz radośnie zapowiada dzień pojednania Boga z ludźmi. Dzień „Emmanuela” Boga obecnego wśród ludzi. W ewangelii św. Jana Jezus, zapowiadając zesłanie Pocieszyciela, tak mówi: „W owym dniu poznacie, że Ja jestem

w Ojcu moim, a wy we Mnie i Ja w was” (J 14, 20). Apostoł narodów, św. Paweł, w liście do Efezjan pisze: „Chrystus jest naszym pojednaniem”.

W Konstytucji duszpasterskiej o Kościele w świecie współczesnym czytamy: „Bóg troszczący się po ojcowsku o wszystko chciał, by wszyscy ludzie tworzyli jedną rodzinę i odnosili się wzajemnie do siebie w duchu braterskim. Wszyscy bowiem, stworzeni na obraz Boga, który „z jednego uczynił cały rodzaj ludzki, aby zamieszkał cały obszar ziemi” (Dz 17, 26) powołani są do jednego i tego samego celu, to jest do Boga samego.

Kiedy Pan Jezus modlił się do Ojca, aby „wszyscy byli jedno... jako i my jedno jesteśmy”, otwierając przed rozumem ludzkim niedostępne perspektywy, daje znać o pewnym podobieństwie między jednością osób boskich a jednością synów Bożych zespolonych w prawdzie i miłości...” (24).

W encyklice Pawła VI „Populorum Progressio — O popieraniu rozwoju ludów”, znajdujemy takie słowa: „Jesteśmy przekonani, że wszyscy chrześcijanie, nasi bracia, zechcą podjąć wspólne i skoordynowane wysiłki, aby pomóc światu zatryumfować nad egoizmem i pychą, zaprzestać sporów i rywalizacji, i przewartościować ambicje i niesprawiedliwości, udostępnić wszystkim bractwom ludzkie warunki życia, w którym każdy będzie miłowany i dozna pomocy jako bliźni i brat...” (82).

Wysiłek ten ma się dokonywać w naszych rodzinach, w naszych organizacjach, w naszych wspólnotach parafialnych, aby jednością wieloraką i różnorodną jaśniał powszechny Kościół Chrystusowy.

Wysiłek ten wymaga opuszczenia, wyjścia z naszego getta pewności siebie. Najpierw trzeba się wpatrzeć w Chrystusa. Wsłuchać się w Niego. Usłyszeć Jego głos poprzez wydarzenia w naszym życiu, głos Ducha Świętego. Potem pozwolić Duchowi Świętemu w nas działać. Wreszcie wyjść na spotkanie każdego człowieka. Wszyscy bowiem zdążamy do jednego celu: do Ojca wszystkich ludzi i do Jego Syna Zbawiciela świata i do Ducha Świętego Pocieszyciela i Nauczyciela wszelkiej prawdy.

Roman Duda OMI.

KOŚCIÓŁ, KTÓRY WYMAGA

Na tle oparów i mgławic, przebijając się przez kłębowisko wątpliwości, jawi się nam prawdziwy obraz Kościoła nowoczesnego, posoborowego, Kościoła, który wymaga. Gdzie i od kogo? — Dla przykładu przypomnę kilka postaci.

W ubiegłym tygodniu zmarł w Litmierzycach, w Czechach — **Stefan kard. Trochta**. Kim był ten człowiek — Całe niemal swoje biskupie życie był więźniem. Najpierw przebywał w obozach koncentracyjnych, a później był więźniem stanu; został oderwany od swej diecezji i skazany na przymusowe roboty fabryczne. Gdy przyszedł do fabryki, robotnicy wiedzieli, że nie przybył do nich, aby być księdzem-robotnikiem, aby konkurować z nimi o chleb, lecz został do fabryki zesłany. Za co? Jaką winę popełnił? — Był biskupem Kościoła Chrystusowego. Za tę „winę” przebywał w więzieniach około dwudziestu lat.

Przed kilku laty, w dalekim Zagrzebiu zmarł **kardynał Stepińac** — też więzień, obozowiec, wygnaniec. Został pochowany w swej katedrze. Dziś po śmierci nie jest już dla nikogo „szkodliwy”, otoczono go kultem świętych. Kwiaty i płonące na jego grobie świece przypominają o zmartwychwstaniu i życiu. Są dowodem, że nie umarł wszystek, lecz żyje w pamięci wiernych. I on za życia pozbawiony był swej biskupiej stolicy. Dlaczego? — Bo był biskupem katolickim, wyznawał Chrystusa, a to było przestępstwem.

Z dala od swej biskupiej stolicy umierał arcybiskup Pragi — **kardynał Beran** — więzień obozu w Dachau, długoletni więzień czasów dzisiejszych... „Winę” jego stanowiło to, że był biskupem Kościoła Katolickiego i wyznawał Chrystusa. Umarł w opinii świętości.

I jeszcze jedno głośne nazwisko — **kardynał Mindszenty**, arcybiskup Budapesztu — więzień, lata całe przebywający poza swoją stolicą biskupią. A dlaczego? Czy może był przestępcą, wrogiem Ojczyzny, Narodu? — Dlatego, że był biskupem i wyznawał Chrystusa.

I jeszcze jedno nazwisko — **kardynał Slipyj**, arcybiskup Lwowa obrządku greko-katolickiego. Na wygnaniu i w więzieniach spędził przeszło dwadzieścia lat. Teraz przebywa poza swoją katedrą, poza ojczyzną. Dlaczego?

Dlaczego? Bez końca: dlaczego? — Uczciwej odpowiedzi tchórze na to nie dadzą... (z kazania Prymasa Polski, 9 kwietnia 1974 r.).

Dwa tytuły

Gdy myślę, że to MATKI święto, jakos mi się nie chce prowadzić mądrych wywodów. Raczej mam ochotę dzieckiem być! Czyż nie miałbym prawa?

Gdy myślą do niej wracam, słyszę ostatnie słowa mojej matki, widzę ostatni jej gest. Wam wszystkim, drogie matki, poświęcam to wspomnienie. Chcę, abyście wszystkie odnalazły się w tym wspomnieniu, a każde z dzieci odnalazło w nim własną swą matkę.

Niech mi więc wolno będzie mówić dzisiaj jak dziecko. To było ostatnie słowo jakie słyszałem z jej ust. Dzisiaj już siwa głowa. A jednak zawsze mam prawo być dzieckiem. To był pierwszy i ostatni tytuł jaki od niej otrzymałem. Nie wyrzekłem się go nigdy.

Był rok 1939. Od kilku już lat byłem księdzem. Zmobilizowany, jako kapelan odjeżdżałem na front. W domu była tylko matka i siostry. Gdym przed matką uklęknął, nakreśliła mi krzyż na czole, a udając spokój powiedziała: „Niech cię Bóg prowadzi, moje dziecko”. Dziecko! To było ostatnie jej słowo. Za ten tytuł dziękuję ci mamo. Za ten pierwszy tytuł, dany każdemu z narodzonych ludzi, dziękuję wam wszystkie matki.

Przecież mogłyście się zbuntować. Mogłyście się nie zgodzić na to, by was matką zwano. Tak bardzo was do tego świat namawia. Zamiast życie dawać światu, mogłyście śmierć nosić w sobie i szerzyć dokoła. Przez to, że stanęłyście po życia stronie, zdobyłyście najpiękniejszy tytuł: wszyscy żyjący matką was zwaą.

A nieraz trzeba było za ten tytuł płacić: nocą bez snu, czuwaniem bez końca, lękiem co serce rwał. Przez te nocce bezsenne, przez miłość, której nic nie wypowie, przez niepokój i lęk, two-

im, najpiękniejszy z tytułów: matka, moim zaś: dziecko.

Dlatego, że byłaś, wiedziałem, że mogę odejść, a gdy wrócę, zawsze znajdę otwarte drzwi, ciebie coś czekała i twój serdeczny głos. Może nieraz raniły cię te odejścia. A przecież, gdym wracał, nic nie mówiłaś o zranionym sercu. Z miłością tuliłaś mnie, dlatego żem wrócił. Miłością płaciłaś za tytuł: matka.

Wszystkimi godzinami serdecznego spiskowania, gdy najciszej szeptane, pełne tajemniczy słowa z warą moich prosto płynęły do twego ucha, a zbliżone serca pieczętowały tajemnicę, utrwalałem moje prawo i tytuł: dziecko.

Gdy ciepłą ręką ocierałaś łzy, które nawet spłynąć nie zdążyły po dziecięcej twarzy, jakby pod magicznym dotknięciem ustawały cierpienia i żale. Nawet warto było popłakać, pocierpieć trochę, by się upewnić żeś ty zawsze blisko. Najbardziej spracowana ręka matki nigdy nie jest szorstka, jest zawsze najczulszą pieczęcią na policzku dziecka.

Gdym zawinił, na nagane zasłużył, a potem w kącie stawał nadąsany, nie czekałaś, abym pierwszy ciebie przeprosił i wrócił do ciebie. To ty pierwsza podchodziłaś, nadąsanego tuliłaś do siebie. To ty czyniłaś pierwszy krok, dlatego, że nie ja, a ty kochałaś więcej...!

Gdym odjeżdżał na front i ostatni raz jeszcze odwrócił się z drogi zobaczyłem, że na drogę wyszłaś, aby dłużej mnie widzieć. Gdym się odwrócił, nie pocałunek postawiłaś mi ręką, ale krzyż za mną nakreśliłaś. Wargi twoje chyba jeszcze raz wyszeptaly: „Niech cię Bóg prowadzi, moje dziecko!” To był ostatni obraz matki, utrwalaony w pamięci

Za wszystkie krzyże znaczone nad kołyską, nad głową; za ręce, które składały moje oporne do pierwszego pacierza; za ramię, na którym jak na pierwszej ławce szkolnej siedząc, z twarzą przytuloną do twojej słuchałem pierwszych nauk o dobrym Bogu — na wieki masz twoje prawo do tytułu: matka. A moim tytułem największym: być zawsze twoim dzieckiem.

Ks. Witold Kiedrowski.



Modlitwa Wiernych na 7 niedz. wielkanocną (rok C)

Jezus w Wieczerniku modlił się za nas, którzy przyjmujemy Jego słowo i wierzymy. W łączności z Nim módlmy się do Ojca.

1) Za Kościół św., pielgrzymujący do domu Ojca, aby nie ustawał w głoszeniu radosnego orędzia.

2) Za wspólnoty Kościołów odłączonych: o jedność w miłości i poszukiwaniu prawdy.

3) Za rodziny bliskie rozbitcia, aby w Jezusie szukały oparcie i siły do dalszej wierności.

4) Za młodzież, aby nie zbaczala z drogi wiary i zbawienia, lecz wzrastała w łasce u Boga.

5) Za nas samych i naszych bliskich, abyśmy żyjąc w miłości świadczyli, że jesteśmy Chrystusowymi uczniami.

Boże, nasz Ojczy, który posłałeś Jezusa Chrystusa, aby nas wprowadził w tajemnicę Twojej chwały; wysłuchaj naszych błagań, jak wysłuchałeś modlitwy Twojego Syna, który z Toba żyje i króluje przez wszystkie wieki. Amen.

POLSKIE SEMINARIUM DUCHOWNE W PARYŻU

przyjmuje kandydatów do Niższego i do Wyższego Seminarium

Jeśli masz maturę licealną, zostaniesz przyjęty do Wyższego Seminarium i będziesz mógł odbyć studia w Instytucie Katolickim w Paryżu.

Jeśli nie masz matury, staraj się o przyjęcie do Niższego Seminarium, które przyjmuje kandydatów od jedenastego roku życia. Młodzież w Seminarium otrzymuje wychowanie religijne, polskie i naukę.

Wszelkich informacji udziela:

Rektorat Polskiego Seminarium Duchownego, 5, r. des Irlandais, Paris 5.

Le Świat KATOLICKIEGO

PIELGRZYMKI JUBILEUSZOWE

Pielgrzymka młodzieży akademickiej odbyła się do katedry wawelskiej. W intencji pielgrzymów mszę św. odprawił ks. kard. K. Wojtyła, który także wygłosił okolicznościowe kazanie, a następnie przewodniczył modlitwom przy sarkofagu królowej Jadwigi w intencji jej rychłej beatyfikacji.

Wierni dwóch poznańskich parafii Sołacz i Winogrody udali się w pielgrzymce do katedry, gdzie zostali powitani przez proboszcza ks. kan. Kawskiego. Mszę św. koncelebrowaną odprawił ks. arcybp A. Baraniak, który również wygłosił do pielgrzymów kazanie.

Pierwsza pielgrzymka wiernych z kilkunastu parafii diecezji szczecińskokamińskiej przybyła ostatnio do katedry św. Jakuba w Szczecinie. Pielgrzymów powitał ks. prob. J. Janas, który w przemówieniu przedstawił rys historyczny tej świątyni, odbudowanej niedawno po zniszczeniach wojennych. Mszę św. odprawił ks. bp J. Stroba, który następnie w kazaniu poruszył najaktualniejsze sprawy diecezji.

WIKARIUSZ GENERALNY TOWARZYSTWA CHRYSZTUSOWEGO W AUSTRALII

Ks. dr Edward Szymanek, wikariusz generalny Towarzystwa Chrystusowego, udał się do Australii, aby reprezentować Towarzystwo Chrystusowe podczas obchodów 25-lecia Polonii Australijskiej. Jedenastu kapłanów Zgromadzenia duszpasterzujące w większych skupiskach polonijnych w Nowej Południowej Walii w charakterze kapelanów dla Polaków przy parafiach australijskich. Pracują oni w 24 ośrodkach i obejmują stałą opiekę duszpasterską ok. 15 tys. Polaków.

BL. FRANCISZKA SCHERVIER

Beatyfikacja niemieckiej siostry Franciszki Schervier ogłoszona została przez Papieża Pawła VI w niedzielę 28. 4.br. Nowa beatyfikowana była założycielką zgromadzenia sióstr franciszkanek opiekujących się ubogimi. Papież Paweł VI dokonał aktu beatyfikacji w

bazylice Sw. Piotra, w obecności 23 kardynałów, 33 biskupów i 10 tys. rzeszy wiernych.

Bl. siostra Franciszka całe swoje życie poświęciła pomocy biednym, chorym i nieszczęśliwym. Jako córka niemieckiego przemysłowca, od najmłodszych lat starała się pomagać biednym. Jako 21-letnia dziewczyna wstąpiła do społecznego komitetu d/s pomocy biednym. W 1945 r. wraz z grupą 5 młodych dziewcząt udała się do Stanów Zjednoczonych, gdzie udzielała pomocy niemieckim emigrantom. W czasie wojny w 1860-70 r. siostra Franciszka pracowała w szpitalach frontowych i za swą odwagę otrzymała wysokie odznaczenie państwowe. Zmarła 14 grudnia 1876 r.

POŚWIĘCENIE KRZYŻÓW ROKU ŚWIĘTEGO

Wielki Wtorek dla archidiecezji poznańskiej był dniem poświęcenia krzyżów Roku Świętego. Z całej archidiecezji przybyły delegacje z krzyżami do katedry poznańskiej wypełniając ją po brzegi. Uroczystość zaczęła się od Mszy św. poświęcenia Olejów, którą odprawił metropolita poznański arcybp Antoni Baraniak w otoczeniu 50 koncelebransów. Przed błogosławieństwem Ksiądz Arcybiskup uroczyście poświęcił krzyże, potem odbyło się uczczenie krzyża. Celebrans, wszyscy kapłani oraz delegaci podnieśli swoje krzyże adorując je w skupieniu i ciszy. Katedrę wypełnił las ok. 500 krzyżów zabytkowych i artystycznie wykonanych oraz skromnych i prostych. Rozległ się śpiew „Któryś za nas...”, po czym przemówił Ksiądz Arcybiskup. Nawiązał do adoracji krzyża w Wielki Piątek i odmówił z wiernymi modlitwy jubileuszowe.

PODRÓŻ ZAGRANICZNA SEKRETARZA EPISKOPATU POLSKI

Sekretarz Episkopatu Polski ks. bp Bronisław Dąbrowski, w towarzystwie ks. bpa J. Stroby ze Szczecina i ks. dyr. A. Orszulika udał się do Genewy na posiedzenie sekretarzy Konferencji Episkopatów Europy. W drodze do Genewy

ks. bp Dąbrowski zatrzymał się w Bonn, odwiedzając sekretarza Konferencji Episkopatu NRF ks. prałata J. Homeyera. Natomiast w Monachium polscy biskupi złożyli wizytę ks. kardynałowi J. Doepfnerowi, przewodniczącemu Episkopatu NRF. Odwiedzili także Dachau, gdzie odprawili mszę św. w intencji Polaków pomordowanych przez hitlerowców.

PRZEOR TAIZÉ PRZEKAZUJE SWOJĄ NAGRODĘ MŁODZIEŻY

Jak już informowaliśmy, przeor wspólnoty w Taizé, O. Roger Schütz, otrzymał tegoroczną nagrodę Fundacji Templeton. 10 kwietnia br. nagrodę tę, w wysokości 34.000 funtów, wręczył laureatowi ksiądz Filip O. Schütz wyjaśnił w swym przemówieniu, jak zamierza spożytkować otrzymaną kwotę: „Nie przyjmuję jej dla wspólnoty w Taizé: ona zawsze odmawiała przyjmowania darów. Żyliśmy zawsze jedynie z naszej pracy, bez żadnego kapitału rezerwowego (...). Ta suma będzie rozdzielona pomiędzy biednych młodych ludzi, zwłaszcza z półkuli południowej, którzy — zaangażowani na drogach walki i kontemplacji — pragną się spotkać i stać się niestrudzonymi poszukiwaczami wspólnoty. Pewna część pozostanie na Wyspach Brytyjskich dla młodych, którzy zajmują się przyjmowaniem afrykańskich i azjatyckich emigrantów (w szczególności Pakistańczyków) i dla młodych, którzy walczą o pojednanie w Irlandii Północnej.

BIBLIOTEKA W ALEKSANDRII

W Aleksandrii została oddana ostatnio do użytku studentów Uniwersytetu Aleksandryjskiego biblioteka przygotowana przez ojców jezuitów. Biblioteka posiada m. in. książki, których wielu studentów ze względu na trudności finansowe nie może sobie kupić. Studentom ociemniałym służą magnetofonowe nagrania różnych podręczników. Uniwersytet Aleksandryjski liczy 42 tys. studentów, z których 800 jest katolikami, 40 chrześcijanami obrządku koptyjskiego. Biblioteka jest więc placówką o charakterze ekumenicznym.

Cierniowa mitra

Znów mija kilka dni. Niedziela, a więc popołudnie wolne. Uwięzieni patrzą na blok 9. To boli, rozrywa serce, a jednak nie można odwrócić oczu, chociaż z daleka, a z nimi...

Okna tamtego bloku są otwarte. Ludzie w pielisznie kłęczą, odmawiają głośno litanie. Podobno blokowy, komunista niemiecki, Karl Gutmann, sam zachęca wierzących do modlitwy.

— Jeżeli wam to pomaga — mówi. Trzeba robić wszystko, aby przeżyć. Przetrawać na przekór temu świństwu. Ktoś przecież musi doczekać, jak ich diabli wezmą. Choćby zobaczyć to, a potem można sobie umierać.

Biskup Kozal, wpatrzony w tamte okna, błogosławi kojących. Wczoraj byli świadkami, jak dziewiątka wędrowała do łaźni. Krok za krokiem, silniejsi podtrzymywali słabszych, wlokła się gromada żywego nieszczęścia. Przechód łaźni. Potem stali nago przed „dezynfekcją”, czekając na bieliznę. Pasiaków znowu im nie dano. Było 20 stopni mrozu. Dzisiaj wyniesiono stamtąd trzydzieści trupów. Ty, Boże, widzisz, Ty widzisz...

Na zmianę kursu wobec świerzbowych wpłynęli ci, od których najmniej spodziewano się pomocy. Rzecz w Dachau niesłychana, jedyna i sprawdzona.

Teodor Musioł w książce „Dachau 1933-1945” pisze:

„Nieustający okropny głód pochłaniał coraz więcej ofiar wśród chorych na świerzb. Wówczas personel blokowy udał się do Lagerführera z prośbą o zwolnienie go z pełnionych funkcji, tłumacząc się, że nie jest w stanie przypatrywać się dłużej śmierci głodowej. Po gwałtownych scenach zaczęło do chorych na świerzb rzeczywiście docierać jedzenie w normalnych ilościach obozowych. Rzadki to wypadek w dziejach obozu w Dachau”.

— Czterdziestu ochotników do ładowania węgla!

Nie ma głupich, więźniowie poznali się na wezwaniu do ochotniczej pracy. Nikt z własnej woli nie roztrwoni resztki siły, która tli jeszcze w wychudłych mięśniach. Esesman rozjeżdża się bezradnie. Chwila zastanowienia i:

— Który z was jest Kozal? Do węgla!

Potem na chybił trafił wskazał palcem kilku innych. Przed blokiem jego kolega trzymał na uwięzi psy. Zaskomlały na widok pasiaków. Obok bramy spotkali kilku innych więźniów z bloków cywilnych. Sformowali szereg i skierowali się na usypisko. Zaprzeżeni parcianymi pasami do wózków czekali na załadunek. Ile łopaty może podrzucić na platformę śnający się cień człowieka?

Ścieżka jest wysiuzgana, oblodzona, trudno się poruszać nawet bez obciążenia. Kilku ludzi ciągnie, kilku popycha.

„Zjadłem szybko śniadanie i poszedłem go (Kozala) zastąpić — pisze o. Kozłowiecki. — Bronił się i nie chciał ustąpić, ale powiedziałem mu, że żaden z nas nie mógłby sobie darować, że siedzi na bloku, a on pracuje na tym zimnie przy węglu. Powiedziałem mu, żeby wrócił na izbę, nie dla siebie, ale dla tych innych, którzy tam są, żeby im zaoszczędzić przykrości. Ostatecznie może się tam wziąć do jakiegoś porządkowania w moim zastępstwie. Zastana-

wiał się chwilę, a potem nic nie mówiąc, poszedł. Widziałem, że było mu bardzo przykro.

Dla ks. biskupa mamy wszyscy największy podziw i szacunek właśnie dlatego, że nigdy się go nie domaga. Szanuje swoją godność i pamięta, kim jest, ale czyni to jakoś po Chrystusowemu. Wyróżnia się od nas jedynie większą powagą, spokojem, opanowaniem”.

— Nie narzucał się jako zwierzchnik — wspomina w rozmowie ks. biskup Majdański, w tamtych czasach jeden z wielu kleryków. — Nasi profesorowie mówili czasem, że się nami cieszą. Czasem zwracali uwagę. Ksiądz biskup Kozal nigdy. Był z nami, jednym z nas, ale przez to właśnie stał się przykładem. Śledziliśmy jego sposób bycia, widząc na każdym kroku osobistą ofiarę.

Czy zdawał sobie z tego sprawę? — pytam, stając przed popiersiem w katedrze. — A jeśli tak, czy nieśło mu to ulgę? Może przytłaczało jeszcze bardziej ciężarem odpowiedzialności i samotności, pośród wielu, którzy patrzą. I przyjaciele, i wrogowie...

I znów o. Kozłowiecki:

„8 lutego: Nagle wpadł do izby Martin Szaferksi, narobił krzyku, że mamy iść do roboty. Blokowy mu tłumaczył, że pracowaliśmy ostatni raz i dzisiaj kolejka wypada na inny blok, ale on nie dał sobie nic wytłumaczyć. Wypędził nas na dwór i kazał ustawić się, potem specjalnie wyszukał w szeregu ks. biskupa Kozala i pobił go po twarzy, a wreszcie wzięł jego i około dwudziestu innych z naszej izby do roboty przy śniegu”.

Trzeba wyjść ze śniegiem poza teren obozu. Nie wystarczy już wrzucać go do kanału. Teraz ciągnie się na wózkach, nosi na płytach daleko za bramę, za SS-Strasse. Trzeba przejść tą ulicą. Wzdłuż chodnika otulone bielą domki z czerwonymi dachówkami, wyiskrzone słońcem i mrozem. Zielone, wesołe siatki grodzą poszczególne posesje, krzewy, strojne koronką drobin lodu i skamieniałego śniegu. Dzieci. Owinięte, opatulone, niezgrabne i rozczulające w swej beztrójce, tutaj w Dachau. One nie wiedzą, że ich zacizność wyrosła na fundamentach cementowanycy potem i krwią pierwszych więźniów Dachau, niemieckich komunistów, później Austriaków, Czechów. Ich ręce dotykały każdej z cegieł, które dziś bezpiecznie chronią od zawieruchy. Dziewczynki, różowe, jasnowłose; rośliny, krzykliwi chłopcy roją się teraz na usypisku śniegu, zjeżdżają na sankach, krzyczą, koziołkują. Nowy przywieziony właśnie transport jest im nie na rękę. Już wyslizgali tor, starczy. Kapo tłumaczy, muszą tutaj zostawić wszystko, co przywieźli. Dzieci sprzeciwiają się.

Zabawa zmieniła charakter. Dzieci porzucają sanki, chwytają suche gałęzie, patyki, mierzą nawet z palców.

— Ta, ta, ta, ta — naśladują terkot karabinów maszynowych.

Bardziej zadzierzysty chłopak pluje w twarz najbliższego stojącego więźnia, przedsięwzięty kolega kopie tragarza ciągnącego wózek. Kapo przekonuje, że otrzymali rozkaz ładowania śniegu właśnie w tym miejscu. Nie chcą słuchać. Plują w twarz kapo. Któryś z chłopców biegnie do domu po ojca. Zjawia się esesman.

(Ciąg dalszy nastąpi)

LUDZIE SA TACY

KRÓL I ASTROLOG. - Za panowania Filipa II w Hiszpanii jeden z mrocznych astrologów przepowiedział rychłą śmierć pewnej damie, której udało się właśnie zdobyć serce monarchy. Król oburzony tą przepowiednią kazał go wezwać, natomiast warcie pałacowej zapowiedział, że na dany znak ma go obezwładnić, a po wyprowadzeniu z zamku utopić. Gdy więc astrolog zjawił się przed królem, ten zapytał go: „Słyszałem, że nieomylnie przepowiadasz ludziom ich losy. Czy mógłbyś więc sobie samemu przepowiedzieć datę swojej śmierci?” Astrolog zrozumiał, że grozi mu jakieś niebezpieczeństwo, skłonił się więc głęboko i głosem poważnym i pełnym głębokiego przekonania odrzekł: „Wiem, że zginę na trzy dni przed zgonem Waszej Królewskiej Mości”. Odpowiedź ta uczyniła na Filipie takie wielkie wrażenie, iż nie tylko kazał go strzec jak oka w głowie, lecz oddał mu także do dyspozycji nadwornego lekarza.

OBYWATELE ANDOKY - jednego z najmniejszych państw na świecie - wybrali po raz pierwszy w swej 700-letniej historii kobietę do rady administracyjnej, sprawującej rząd w tym kraju. Były to pierwsze wybory, w których kandydowały kobiety, choć hierne prawa wyborcze posiadają od 1970 roku.

ZŁOTY OSIOŁ. - Belgijscy dziennikarze mają zamiar ustanowić nowe wyróżnienie. „Złotego osła”. Będzie ono przyznawane za najgłupszą wypowiedź lub za najgłupszy czyn roku. Przeciwno projektowi wystąpiło belgijskie Towarzystwo Przyjaciół Zwierząt: „Osioł” czytamy w oświadczeniu - jest nieprzeciętnie mądrym zwierzęciem. Czynnienie z niego symbolu głupoty świadczy jedynie o głupocie projektodawców”.

O MARKU TWAIN. - Gdy Marek Twain był jeszcze redaktorem pisma „Arizona Kickers”, dużo czasu zajmowało mu czytanie rękopisów różnych grafomanów. Kiedyś spojrzawszy na wypełniony po brzegi kosz, westchnął: — Szkoda, że nie byłem redaktorem już wówczas, gdy pisano na kamiennych płytach. Jaką pigułką wilę mógłbym sobie z nich wystawić...

Chaty Pana Boga

UŚMIECHY DLA PONURYCH CZASÓW

(Ciąg dalszy)

Zaczynał mnie naprawdę pasjonować ten Bóg, który, właśnie tak, bez uprzedzenia wtargnął gwałtownie w moje życie, do mojego prowincjonalnego świata. Był sympatyczny, braterski, ludzki. Tak, to właśnie to: Dobry Bóg.

— Nie uprzedzasz nigdy ludzi przed przyjsciem do nich? — zapytałem go.

— Nie lubię telegramów — mówi. — To wprowadza zamęt wśród ludzi i sprawia, że stają się nerwowi. Z drugiej strony, nie mogę sobie pozwolić na to, by niepokoić w każdej chwili anioła, aby mnie zapowiedział. Archanioł, który służy mi jako szef Personelu robi mi ciągle wymówki, skarży się, że ma zbyt dużo pracy i stale żąda podwyżki. A poza tym, istnieje związek zawodowy aniołów... Nie, ja wolę radzić sobie sam, improwizować. Bardzo lubię improwizować.

— A jednak — mówię — Stary Testament przez wiele wieków był przygotowaniem Nowego; to nie była tak zupełnie improwizacja. Był plan, był program i to wymagało czasu.

— To jednak była improwizacja. Od początku do końca — powiedział. — Ponieważ człowiek może zawsze powiedzieć nie, w ostatniej chwili, i wtedy wszystkie plany upadają, i trzeba zaczynać od początku.

— Jeżeli tak lubisz improwizację, powinieneś lubić muzykę i muzyków — mówię.

— Tak, przede wszystkim Mozarta. I Debussy'ego. Mozart, to prawie boskie. Co do Debussy'ego, uwielbiam go. Wierz mi, jestem znawcą...

— Czy muzyka istnieje tam gdzie Ty jesteś?

— Cała muzyka świata, ta, którą znasz i ta, której nie słyszałeś. To jest ogromna, odwieczna improwizacja od samego Początku. Trwać będzie przez całą wieczność.

— Uspokoileś mnie — mówię — ponieważ ja także lubię muzykę. Uwielbiam Mozarta i Debussy'ego.

W czasie kiedy Bóg mówił do mnie, wydawało mi się, że to spotkanie, ta rozmowa była niezwykła i niespodziewana. Chciałem wiedzieć coś więcej. Przecież nie co dzień dzienni-

karz ma szczęście otrzymywać informacje z tak pewnego źródła, spotkać rozmówcę wiarygodnego. Wiec dalej zacząłem zadawać Bogu pytania.

— Moja żona szuka Cię od wielu lat — mówię mu.

— Ja też. Powiedz jej, że bardzo żałuję, że jej tu nie ma.

— Nie będzie chciała mi uwierzyć.

— Szkoda, bo to jest właśnie wiara.

— Czy ona będzie musiała długo Cię szukać, zanim Cię spotka?

— To zależy. Zależy od jej serca. Tylko od jej serca, bo jeżeli chodzi o moje, to, to już jest zrobione. Ja respektuję wolność i samodzielne drogi.

— Czy to wymaga jeszcze długiego czasu?

— Tyle czasu ile będzie trzeba.

— Czy nie wiesz ile, mniej więcej?

— Nie interesuję się drobiazgami i nie prowadzę statystyki. Nie chodziłem do Wyzszej Szkoły Handlowej, ani na Politechnikę.

— A wojna, przemoc, Wietnam, Irlandia, Egipt, Palestyna, czy to będzie jeszcze długo trwało?

— Trudno powiedzieć. To są sprawy zależne od ludzi nie ode mnie.

— Wielu z nich zwraca się do Ciebie. — Nie do mnie. Nie lubię gdy się zabija, ani gdy się zabijają nawzajem. Nie lubię kiedy się torturuje, męczy, ani kiedy się doprowadza dzieci do płaczu. Mam serce Ojca.

W tym momencie Bóg rozplakał się. Nie wstydział się. Tak, łzy płynęły mu z oczu. Prawdziwe łzy. To było wstrząsające i byłem wstrząśnięty. Nic nie może być bardziej wzruszającego, niż Bóg, który płacze. Bóg płakał jak mężczyzna, który stracił swoją żonę, kobieta swoją miłość, dziecko swoją lalkę. Wyszedłem na chwilę z pokoju, aby być dyskretnym.

Kiedy wróciłem chwilę później, stał przy oknie i uśmiechał się patrząc na małego, huśtającego się chłopca.

— Kocham małe dzieci. — One mnie pocieszają wtedy, kiedy dorośli mnie martwią.

Rozpoczęliśmy znowu naszą rozmowę.

— Czy na innych planetach są ludzie, albo jakieś stworzenia podobne do nas?

— To, Ty czytasz gazety?

— Zawsze je czytam.

— Przecież Ty jesteś Bogiem.

— Właśnie dlatego. Interesuje mnie wszystko co robią ludzie. Ogromnie.

— Opowiedz mi proszę, o Marii, tej od perfum, z Betanii.

— Ona była bardzo piękna. Szczególnie jej oczy. Wszyscy mężczyźni szaleli za nią.

— Czy lubiła jej perfumy.

— Lubię je jeszcze. Istnieją zapachy, których się nie zapomina. Taki właśnie był ten Maria. On wypełniał cały dom. W Ewangelii nie napisano o tym, że lubiła perfumy; myślnano, że to będzie irrwolne i mało poważne. Ale tak naprawdę, lubię perfumy, szczególnie te Marii z Betanii.

— Krzyż, to musi być okropne.

— Jeszcze gorsze.

— A śmierć?

— Śmierć jest jak cierpienie: trzeba przez nią przejść, aby zrozumieć. Aby wiedzieć, że ona może być źródłem życia. Aby wiedzieć, że jest światło przy końcu nocy.

— Niektórzy twierdzą, że ma się śmierć taką, na jaką się zasłużyło.

— Jest dużo głupców.

— Kilku twierdzi także, że im więcej się cierpi, tym bardziej można być później szczęśliwym; oni szukają cierpienia, aby cierpieć, tak jak gdyby ono było dobre.

— Ja nie lubię cierpienia — mówi Bóg. — Ja je zniósłem, ale je nigdy nie lubiłem. Toleruję je, ale sprawia mi ból. Nie zrozumieć nigdy ludzi, którzy zadają innym cierpienia dla przy-

jemności. Ani tych, którzy znajdują przyjemność w cierpieniu. Nic nie mogę na to poradzić, taki jestem.

*

— Co myślisz o pigułkach antykoncepcyjnych?

— Myślę przede wszystkim o życiu.

— Czy problemy kobiet nie dla Ciebie nie znaczą?

— Nic nie jest dla mnie bez znaczenia. I bardzo lubię kobiety. Być może bardziej niż mężczyzn. Ponieważ bez nich świat byłby smutny. I ponieważ wyczuwam między nimi i mną jakiś tajemny związek. Rozumiemy się bez konieczności wymiany słów. Dlatego tak bardzo lubię Marię. I Magdalę. I Katarzynę. I Bernadę. I tyle innych nieprzeliczonych, o których nie pisze się nigdy w gazetach, i o których nikt nie wie. Oprócz mnie. Ja je znam bardzo dobrze. I my się doskonale rozumiemy. One i ja.

*

— A co myślisz o samochodzie?

— To był dobry pomysł i dość długo praktyczny. Teraz coraz mniej. Ale to też nie są moje sprawy.

— A Ty, czy masz samochód?

— Ja nic nie mam.

— A więc w jaki sposób podróżujesz?

— Auto-stopem.

— Czy ludzie zatrzymują się chętnie?

— To zależy od dnia.

— To prawda, nie obrażaj się, ale jesteś trochę jak „hippy”. To także źle wpływa na Twój znak firmowy, na Twoją reklamę.

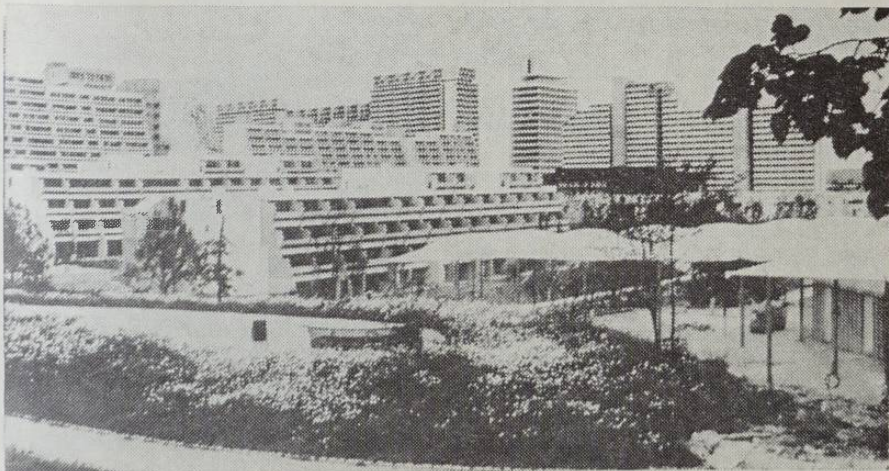
— Powiedziałem Ci już, że śmieję się z mojej reklamy. Lubię wolność. Ludzie powinni mnie przyjąć takim
(Ciąg dalszy na str. 8)

Migawki emigracyjne

NOWY TOM WIERSZY J. BRZEKOWSKIEGO. — Niemal równocześnie z wyborem polskich „Poezji”, opublikowanym z przedmową Zbigniewa Bieńkowskiego, ukazał się piąty już tom francuskich wierszy Jana Brzękowskiego, nakładem paryskiej firmy „Chambelland”. Poeta zamieszkały we Francji od 1928 r., redagujący przed wojną polsko-francuskie czasopismo „L'Art Contemporain... Sztuka Współczesna” zarzem czynny w dziedzinie propagandy polskiej twórczości za granicą, w czasie wojny żołnierz francuskiego Ruchu Oporu, pisze od 40 lat w dwóch językach po polsku i francusku.

KRÓLEWSKI GRAWER. — W dniu 28 urodzin nowego króla Szwecji, Karola VI Gustawa, przypadających na 29 kwietnia, weszły do obiegu w tym kraju znaczki pocztowe z jego podobizną. Wykonanie wzorów znaczków powierzono grawerowi dworu królewskiego, Polakowi z pochodzenia, Czesławowi Stani, twórcy wielu poprzednich znaczków pocztowych Szwecji. Projekt nowego znaczka został osobiście zaakceptowany przez Karola VI Gustawa.

POLSKA FILATELISTYKA. — W Toronto rozwija ożywioną działalność Polski Klub Filatelistyczny im. Kazimierza Gzowskiego. Klub ten organizował już dwukrotnie polskie wystawy filatelistyczne w Toronto, poza tym zaś eksponował parokrotnie filatelistykę polską podczas Kanadyjskiej Wystawy Krajowej w tym mieście. Ostatnia Wystawa Filatelistyki Polskiej w Toronto miała szczególnie reprezentatywny charakter, odbyła się bowiem w ramach zakrojonych na dużą skalę obchodów kopernikowskich. Klub wydał z tej okazji pamiątkową kopertę według projektu artysty malarza E. Chrościckiego. Dzięki staraniom energicznego sekretarza Polskiego Klubu Filatelistycznego, inż. M. Lubińskiego, poczta kanadyjska stemplowała koperty na wystawie specjalnym „kopernikowskim” datownikiem. Warto zwrócić uwagę, że nazwisko wielkiego astronoma na datowniku podano nie w wersji łacińskiej (Copernicus), lecz polskiej.



(Ciąg dalszy ze str. 7)

jakim jestem. Ja ich przyjmuję takich jacy są.

*

— Lubisz zakręty?

— Tak, szczególnie w lewo. Ponieważ nigdy nie wiadomo co będzie za chwilę, ani jak się to skończy. To przygoda, coś nieprzewidzianego, nowość. Uwielbiam nowości.

— To dlatego wolisz linie krzywe niż proste?

— Może dlatego. Żałuję, ale nie lubię monotonii.

— Czy przypadkiem nie jesteś trochę szalony?

— Słowo daję, to możliwe.

— Czy wiesz, że to co teraz mówisz nie jest bardzo katolickie.

— Być może. Ale wiesz, nie mam nic przeciwko ortodoksom, ani przeciw protestantom. Jestem po prostu Bogiem.

*

— Czy ugrzązłeś kiedyś w korku samochodowym?

— Owszem. To mi się zdarzyło. Nie dalej jak wczoraj. Myślałem, że nigdy się z niego nie wydostanę.

— A o czym myślisz w takim wypadku?

— O Jeziorze Twberiadzkim.

— Czy lubisz rybołówstwo?

— Zajmowałem się tym. Nauczyłem się od Piotra i Jana. A ponieważ miałem trochę zdolności, rybołówstwo szło mi dość dobrze. Umiałem także naprawiać sieci, wiesz, to nie jest takie łatwe.

— Cudowny połów, czy to się naprawdę zdarzyło? Czy też tę historię opowiada się od tak, dla zbudowania dobrego ludu?

— Jeżeli nie wierzysz w Ewangelie, nie ja cię będę przekonywał.

— Dobrze, wierzę Ci. Przeczytam je jeszcze raz.

W południe zaproponowałem mojemu gościowi wspólny posiłek.

— Przyjmuję z ochotą. Nie ośmielać się tego wyznać, ale umieram z głodu.

— Przepraszam Cię — mówię — ale nic nie przygotowałem. Jest tylko chleb, wino i ryba.

— Lubię chleb i wino. A także rybę. Można by było ją przypiec. Przypomniałoby mi to pewne zdarzenia.

Przypiekliliśmy rybę i Bóg zjadł ją

ze smakiem. Z apetytem człowieka.

— Przepraszam — mówi — ale jestem zawsze głodny i jestem szczęśliwy, kiedy spotykam ludzi takich jak ja, z dobrym apetytem: ponieważ można się odnaleźć właśnie przy stole. To najlepszy moment dla przyjaźni. Lubię tę wielką bliskość z ludźmi przy stole. Jest dobrze.

Posiłek skończony, zaczęliśmy znowu naszą rozmowę.

— Co myślisz o pieniądzach?

— Psują dużo rzeczy. I dużo ludzi.

— Tobie było łatwiej. Dzięki groszowi znalezionemu w pysku ryby, mogłeś zapłacić podatek. Ja, aby zapłacić mój, muszę brać nadgodziny.

— Ja także pracowałem. Robiąc wiązania dachowe, fabrykując koła do wozu, doskonałe stoły, — to nie jest takie proste. To wymaga dużego wysiłku i niejednokrotnie potu. Ma się wtedy często bomble na rękach.

To prawda, On miał stwardniałe ręce, ręce robotnika, a nie delikatne, jakie pokazują nam zawsze na świętych obrazach. Trzeba mu oddać sprawiedliwość.

— Mój ojciec zginął w Oświęcimiu, w obozie koncentracyjnym.

— Wiem — mówi — to straszne.

— Co myślisz o obozach koncentracyjnych?

— Mówiłem ci już: to straszne.

*

— Mój czteroletni syn, opowiada mi często o Tobie. Mówi, że jesteś podobny do słońca.

— To nie jest głupie, ale on tego sam nie wymyślił: podpowiedziałem mu pewnego dnia, kiedy chciałem rysować ssąc swój ołówek. Trochę mu pomagałem: to był śliczny rysunek.

*

— Jakie jest niebo?

— Myślę, że jest bardzo dobre. Mnie się podoba.

— Powiedz coś więcej. Czy my będziemy ściśnięci wszyscy razem, jak w metrze w godzinach szczytu. Czy też będą tam te chaty, które lubisz, gdzie będzie można spotkać się z przyjaciółmi, rodziną, kolegami?

— Jest dużo rodzajów mieszkań w moim niebie, na pewno słyszałeś o tym.

— Wolę o tym dowiedzieć się od Ciebie. Mam wstręt do bezładnej mie-

szaniny i wolę dobrać sobie towarzystwo. Czy wyobrażasz sobie całą wieczność z Kantem czy Heglem? Albo z teologiem, który mówił bez przemyślenia, aby mnie przekonać, że istniejesz, że jesteś Kimś, że warto Cię znać. Cierpieć szczęście, że będziesz tam między nimi.

— Oczywiście! — powiedział. — Tam będą chaty. Ale prawdopodobnie także teologowie. Trzeba im w końcu dać okazję, aby sami zobaczyli do jakiego stopnia się pomylili. Bo inaczej byłbym niesprawiedliwy. Każdy ma prawo mieć szansę, teologowie też. Im trzeba będzie dużo wybaczyć, ponieważ bardzo się mylili.

*

— Bardzo lubię wakacje — mówię mu znowu.

— Ja też.

— Dla Ciebie to nie jest żaden problem. Masz w końcu wieczne wakacje.

— Mylisz się! Dopóki ludzie cierpią, męczą się, potykają z powodu kopnięć, pałek, niesprawiedliwości każdego rodzaju, nie mogę sobie pozwolić na wzięcie wakacji.

— Jeżeli dobrze rozumię, Mała Teresa nawróciła Cię: Ty też poświęcasz swój czas w niebie, aby dobrze robić na ziemi...

— To jest bardziej skomplikowane, niż myślisz.

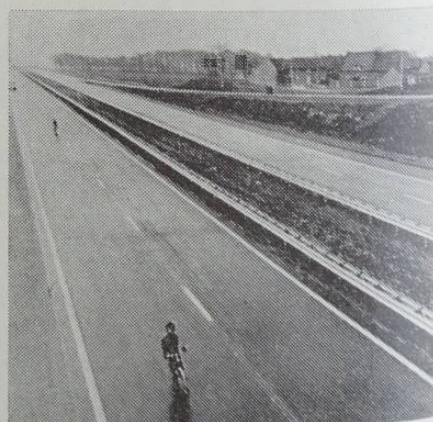
— Chciałbym powtórzyć to, co powiedziałem przed chwilą. Potrzebuję wakacji.

— Tak, bo nie jesteś Bogiem. Człowiek nie jest zdolny znieść takiego ciężaru, grzechu świata, inaczej skończyłby u psychiatry, albo stałby się dla swoich braci smutnym kompanem...

(Ciąg dalszy nastąpi)

Gilbert le Mouél.

Tłum. B. Kłosińska.



MATKA CZACKA

(Ciąg dalszy ze str. 1)

działa niewidomyimi, choć mieli oczy widzące. Była pełna poczucia niewidomości — powtarzała to nieraz — tego zaplątanego, pełnego niepokoju i chaosu ludzkiego życia. Ten „niewidomy” świat ludzi posiadających wzrok był również stale obecny w jej sercu poświęconym niewidomym.

Matka miała często w sobie moc jakiejś świeżości. Było to np. wtedy, gdy opowiadało się jej jakiś drobny obrazek — byle co — z życia dzieci niewidomych czy swojego. Śmiała się wtedy jasnym śmiechem — jakby beztrąsko, osobiście przeżywając, swobodnie a chętnie, te drobne sytuacje życiowe.

Pamiętam np., jak podczas wojny przyjechał do Lasek jakiś dostojnik Kościoła — zdaje się biskup Bukraba — i przywiózł dla dzieci niewidomych daktyle (wtedy czasem dochodziły jakieś dary z zagranicy). Gdy ta wieść rozniósła się wśród dzieci niewidomych, rzuciły się „brajlować” twarz tego biednego człowieka, który ślaniał się na nogach pod naporem wyciągniętych gwałtownymi ruchami rąk dziecięcych. Rzecz niestychana w Laskach, bo dzieci niewidome uczone dyskrecji w swoich chęciach poznania czyjejs twarzą. Matka np. bez specjalnej prośby niczyjej twarzy nie dotykała. A tu ten niepohamowany wybuch konieczności zobaczenia rękami, jak też ten ofiarodawca daktyli wygląda. Ledwie siostry uporały się z odciągnięciem dzieci od tego umęczonego starca, okazało się, że dzieciom pomyliło się i wzięły go za Ojca Świętego, ponieważ uprzednio przysłała kiedyś paczka z daktylami i wtedy im powiedziano, że to od papieża. Matka słuchając opowieści o tej gafie laskowskiej wobec szanownego gościa śmiała się do łez.

Kiedyś się śmiała — ale tym razem trochę na smutno — gdy opowiadano, że mały niewidomy Adaś, uważany za niezupełnie normalne umysłowo dziecko, zawołał słuchając bajki o brzydkim kaczątku: „To my, niewidomi, jesteśmy takimi brzydkimi kaczątkami i nikt nie wie, że będziemy pięknymi łabędziami”. — „Obyś, chłopczku, potrafił...” — powiedziała Matka.

Matka podczas wojny... Można by o tym napisać całą książkę. Zresztą jak w ogóle o działalności Lasek podczas

wojny. To właśnie podsuwał w swojej pracy pt. „Konspiracja. Powstanie w Kampinosie 1944” Józef Krzeczkowski („Szymon”), który był komendantem oddziału kampinoskiego. Bo Laski od razu przystąpiły do Powstania.

Pamiętam, jak idąc kiedyś lasem zobaczyłem Matkę przechadzającą się z kimś. Gdy się mijaliśmy, podbiegła jakaś siostra i powiedziała Matce: „W Warszawie wybuchło Powstanie”. Matka zatrzymała się i głosem mocnym, zdecydowanym, pełnym siły i spokoju uroczyście powiedziała: „Przystępujemy do Powstania”. I potem już wszystko — przez te wszystkie niezapomniane miesiące — było podporządkowane tej sprawie: pomocy Powstaniu. Laski już od miesięcy przygotowywały się do Powstania. Z chwilą przywiezienia z Puszczy Kampinoskiej pierwszych rannych, zastali oni już szpital gotowy. (Ten jeden, przygotowany już jak nowoczesny szpital — jak to stwierdza Krzeczkowski w swej pracy — rozrósł się potem w trzy duże szpitale powstańcze). Porządek — cytuję z książki Krzeczowskiego — czystość, dyscyplina, a przede wszystkim spokój panowały w tym szpitalu. (...) Zdarzały się okresy, w których trudno było zachować spokój, bo w każdej chwili groziło wymordowanie chorych i obsługi, którą stanowiły siostry zakonne i pracownicy zakładu, a pod koniec starsi niewidomi. Przecież od 8 sierpnia, tj. od chwili wymarszu z Lasek oddziałów powstańczych w głąb Puszczy, miejscowość ta przez kilka dni znajdowała się w pasie międzyfrontowym, a potem zagarnięta została na długo przez Niemców, a zwłaszcza przez własowców.

Ale bywały naturalnie i chwilowe upadki ducha, które zresztą prędko były likwidowane. Przykładem takiej słabości mojego ducha jest następujące wspomnienie. Odbýwała się suma wielkanocna — było to podczas jednej z ostatnich Wielkanocy, gdy srożył się szczególnie silny terror niemiecki. Sumę odprawiał ks. Jan Zieja i właśnie mówił kazanie. Będąc na zewnątrz kaplicy widziałam go stojącego na stopniach ołtarza z Ewangelią w ręku. Kaplica była nabita ludźmi ze wsi, wydawało się, że nie sposób, żeby ktoś mógł się jeszcze wcisnąć. A jednak, gdy na progu stanęło kilku Niemców w mundurach, tłum się jakoś rozluźnił

i Niemcy wcisnęli się jeszcze do kaplicy. Struchlałam, bo ksiądz właśnie — dolatywały mnie strzępy słów — mówił o Smartwychwstaniu. Znając księdza Zieję, czułam podskórnie, że temat to drażliwy. Niewiele myśląc, napisałam karteczkę: „Niemcy w kaplicy” i poprosiłam którąś z sióstr, żeby oddała karteczkę ministrantowi dla dyskretnego wręczenia jej księdzu Ziei. I rzeczywiście zobaczyłam ponad głowami tłumów, że ksiądz przerwał kazanie, nachylił się — widać dla odebrania kartki — ostentacyjnie ją przeczytał i wsunął do kart Ewangelii. Nastąpiła chwila ciszy, a potem ksiądz nagle spoteżnionym głosem poprowadził dalej kazanie. To już nie strzępki słów, zdań słyszałam, ale głos, który zdawał się trząść kaplicą: „My również znamy kamienie, jak gdyby grobowe, którymi nas przetrzaśnięto. Ale to nie są kamienie grobowe. To są tylko jakby kamienie grobowe. My umiemy takie kamienie zrzucić z siebie. I ten zrzucimy”. Sama nie wiedziałam, czy bardziej byłam struchlała, czy bardziej rozśmieszona tą moją tak bardzo niefortunną interwencją. Za to Matka nie miała żadnej wątpliwości, jak ocenić tę sytuację i gdy jej opowiadałam swoje przeżycia — śmiała się do łez. Ksiądz Zieja starałam się dłuższy czas unikać.

Charakteryzujące Matkę poczucie hierarchii spraw i ich wagi było tak wielkie, że podjęła z całą świadomością i nieugiętością niebezpieczeństwo, jakie zawisło nad Zakładem, nawet za cenę tego, o czym wszyscy wiedzieliśmy — że ofiarą zemsty Niemców mogli paść również i niewidomi. Ale te pełne grozy dni, a zwłaszcza noce, kiedy wożono wózkami wiejskimi albo wozami zakładowymi rannych z Puszczy lub z pobojowisk okolicznych, upływały wszystkim w olbrzymim skupieniu wewnętrznym, spokoju i w poczuciu, że robi się to, co jest właśnie po prostu do zrobienia.

Oto taka jest moja fragmentaryczna, nieuporządkowana garsć wspomnień. Chciałoby się ich dać więcej — tyle ich ciśnie się przed oczy. Ale żadne wspomnienie nie zdoła choćby tylko dotknąć słowami tej niewyrażalnej tajemnicy służby Matki. Można było tylko usiłować ująć w słowa to, czym nas obdarzała.

Janina Doroszevska.

NA DZIEŃ MATKI
BĄDŹ POCHWALONA, MAMUSIU



Czytałem dziś o pewnej kobiecie, która wyrwała się ze zdumionego tłumu.

Jak wygląda? — Nie wiem. Może miała chustkę czerwoną, szary płaszcz, błękitne sandały; może miała w koszyku czarny chleb z umączoną przyłepką.

Co mówiła?

— Pochwaliła Matkę Pana Jezusa.

Kto jeszcze pochwalił Matkę Pana Jezusa?

— Anioł Gabriel. Dzieci pamiętają — przyszedł do Nazaretu i powiedział:

„Zdrowaś Maryjo,
łaski pełna,
Pan z Tobą,
Błogosławionaś Ty między
niewiastami”.

Kto jeszcze pochwalił Matkę Najświętszą?

— Święta Elżbieta, którą widzimy na obrazie przy wielkim ołtarzu, w płaszczu — wyciąga ręce do Matki Bożej i chwali Ją.

Kto jeszcze pochwalił Matkę Bożą?

— Sam Pan Jezus, bo powiedział: „Błogosławieni, którzy słuchają słowa Bożego i strzegą go”.

Kogo, mówiąc to, pochwalił? — Pochwalił Matkę Bożą, bo Ona wsłuchiwała się w każde słowo Ewangelii i każdego strzegła tak, jak pastuszek strzeże owcy białej, puszystej, z niebieskimi oczami.

Czy ty czasem pochwalisz swoją mamusię?

Są dzieci, które tylko czekają, kiedy

mamusia je pochwali.

Nikt tak nie ugotuje dla ciebie kawy z mlekiem, jak właśnie mamusia. Nikt tak nie przykryje cię kołdrą, jak ona.

Kiedy jesteś chory, nikt tak nie siedzi przy łóżku. Nikt tak nie drży, kiedy mierzy ci gorączkę, kiedy wyjmuje termometr spod pachy, bierze pod światło i patrzy na srebrny słupek ręki jak na małą, która chce przeskoczyć czerwoną kreskę. Nawet lalki w kątach nie załamują rąk, a mamusia drży.

Nikt tak nie boi się o ciebie, jak mamusia, kiedy jesteś chory.

Czy ty kiedy pochwaliłeś swoją mamusię?

Ks. Jan Twardowski.

ORIOIL

Dziwna i niezwykła była śmierć wikarego kościoła Santa Maria del Pino w Barcelonie. Kiedy zmęczony gorączką i wycieńczony długo ukrywając chorobą zległ w swojej samotni, poprosił swego przyjaciela Tomasza, dyrygenta miejscowego chóru, żeby mu zaśpiewano ulubione „Stabat Mater”. Zafrasowany Tomasz Milans zorganizował w pośpiechu czterech chłopców, którzy jasnymi, dzwicznymi głosami wykonałi Maryjny hymn. Pełna powagi pieśń o Matce, co stała pod krzyżem,

wznosiła się razem ze skołataną duszą księdza Józefa do Boga. Gdy słowa modlitwy zastygły pod sklepieniem wikarówki, odezwała się na wieży kościelnej sygnaturka. Ludzie zgromadzeni pod kościołem, szepcząc żałośnie pacierze, skinieniem głowy potwierdzali smutną wieść. Był 22 marzec, rok Pański 1702.

Józef Oriol ujrzał światło dzienne na peryferiach Barcelony, w rodzinie walczącego beznadziejnie z biedą garbarza zainszu, Juana Oriol, 23 listopada 1650 roku. Ojca nie znał, ponieważ zamordowany garbarz pożegnał się z bezlitosnym światem, kiedy czarnooki Józef raczkował. Pozostała bezradna wdowa z ośmiorgiem głodnych dzieci. Drugim ojcem Józefa został dobry i spokojny szewc. Ojczym siedział od rana do wieczora skulony nad sterą zdartych butów, z wyrazem twarzy naczynym głodem i cierpieniem. Usmiechał się tylko wtedy, gdy klient przynosił trochę grosza, który pozwalał nakarmić dzieci i chwilowo zapomnieć o nędzy i beznadziejności. Mimo mroźczej pracy, odprowadzał na cmentarz kolejno swoich pasierbów, a potem nadszedł dzień, kiedy żona i jedyny pozostały przy życiu syn dwunastoletni Józef, rzucali grudki ziemi na jego trumnę. Dom opustoszał. Na środku izby pozostało szewskie kopyto i kilka par zdeptanych butów. Józef wstawał wcześniej rano i milcząc szedł do pobliskiego kościoła, gdzie zwykle służył do Mszy świętej. Potem wracał do opuszczonego kopyta, wystukując na nim swój chleb powszedni.

Księża z kościoła Santa Maria del Mar zwrócili uwagę na pobożnego i inteligentnego wyrostka. Postanowili własnymi siłami ułatwić Józefowi podjęcie studiów teologicznych, gdy tylko pomyślnie ukończy kurs przygotowawczy i wyrazi swoją zgodę. Józef zabrał się z takim zapałem do nauki, że w wieku lat dwudziestu czterech zrobił doktorat z teologii, dwa lata później zaś, dokładnie 30 maja 1676 roku, przyjął święcenia kapłańskie. Wroźono mu błyskawiczna karierę naukową i życie pełne zaszczytów. Ksiądz Józef już podczas Mszy prymicyjnej wiedział, że dla żadnych tytułów i zaszczytów na świecie nie zdradzi biednych ludzi, z których wyrósł. Wiedział doskonale, czym jest głód, rozumiał tragedie peryferii Barcelony, kochał prostych rzemieślników, doktorów i marynarzy. Drżał o los dzieci szwędających się po porcie, zagląających do smier-

ników, mających oczy powiększone głodem i podmalowane nie zawinionym cierpieniem. Objął wprawdzie tuż po pryncipjach posadę domowego nauczyciela w pałacu wysokiego oficera, pobierał niezłą pensję i zasiadał do stołu uginającego się pod ciężarem najlepszych potraw, nie zdradził jednak swoich biednych przyjaciół. Smakotyki pakował do obszernych kieszeni sutanny, rozdzielając je portowym urwisom. Sam zadawała się chlebem i wodą. Swoje stosunkowo wysokie wynagrodzenie zanosił regularnie ludziom takim jak świętej pamięci jego ojciec, ojczym i wszystkim tyrn, co wegetowali nad szwajskim kopytem, rujnowali zdrowie w dusznych warsztatach garbarskich albo przywierali głodem wstydzając się żebrac.

Śmierć ukochanej matki była dla księdza Józefa wstrząsem. Stojąc samotnie nad jej grobem doszedł do wniosku, że powinien dla Boga i ludzi poświęcić wszystko. Zrezygnował z intratnej posady nauczyciela i zaopatrzonej w brewiarz i mały krucyfiks, postanowił pójść do Rzymu a stamtąd udać się jako misjonarz do dalekich krajów. Po drodze opowiadał ludziom o dobroci Bożej, pomagał gdzie i jak mógł patrzył pilnie i uczył się. W Rzymie podziwiał bogate kościoły, przepych pałaców z wymyślnymi fontannami, ustępował przed dumnymi dygnitarzami zaślepionymi mamoną i pychą, ocierał się o skrajną nędzę i brud Rzymskiej ulicy. Bogatszy o nowe doświadczenia wrócił po roku do Barcelony, obejmując obowiązki wikarego przy kościele Santa Maria del Pino.

Zajął się całym gorącym sercem młodzieżą, dziećmi, biednymi i chorymi. Nie stosował żadnych nadzwyczajnych ani nowych chwytów duszpasterskich. Jego jedyną i niezawodną metodą była prosta, autentyczna mi-

łość. Szczególne miejsce w jego bogatym sercu zajęła biedota z peryferii. Bywało, że wstawał w nocy albo wyskakiwał nagle z konfesjonału, żeby zobaczyć się kilku groszy otrzymanych na własne potrzeby. Palily go jak ogień, dopóki ich nie oddał biednym. Poza dzielnicami nędzy był ksiądz Józef właściwie nieznan. Bogaci konfratry bowiem nie zajmowali się na ogół szaleńcami w rodzaju doktora teologii chodzącego w polatanej sutannie. Załatwiali tego typu ludzi wymownym stuknięciem w czoło, co pozwalało im we własnych oczach zachować szacunek dla samych siebie.

Ksiądz Józef Oriol przebywał często w towarzystwie młodzieży śmiejąc się i żartując, kiedy indziej szukał biedaków z którymi dzielił się uczciwie swoim powszednim chlebem, albo pochylony nad ludzkim cierpieniem pocieszał chorych lecząc ich zranione dusze i ciała. W ten sposób przysparzał Bogu wielu nowych przyjaciół.

Miał pięćdziesiąt dwa lata i tytuł naukowy, gdy umierał jako szeregowy wikary parafii Santa Maria del Pino. Papież Pius X, jeden z nielicznych papieży, którzy kiedyś byli wikarymi, zaliczył księdza Józefa Oriol w roku 1909 w poczet Świętych Pańskich.

Jerzy Narbutt pisał kiedyś na łamach „Tygodnika Powszechnego”:

„Gdy myślę o Kościele walczącym, to bardzo często staje mi przed oczyma właśnie on — szeregowy Kościoła, który przez całe lata (choć jest także artystą) nic nie robi, tylko grzebie umarłych, spowiada, dyżuruje w kancelarii, odprawia Msze w lodowatym kościele, dwoi się i troi, jest wszystkim i musi być wszystkim. On, którego zadanie jest najprostsze i najtrudniejsze: wyrzec się siebie, słuchać i robić.

Kiedyś chciałem opisać jego życie.

Dziś widzę, że to w ogóle niemożliwe. Opisać jego życie, znaczyłoby — nadać mu formę, jakoś uestetycznić, a to byłoby już kłamstwem. Jego życie jest całkowicie pozbawione formy, jest samą zwyczajnością i szarzyzną. Na kim jak na kim, ale na nim najlepiej sprawdza się powiedzenie Wilde'a: „Życie nie może być napisane, życie może być tylko przeżyte”. Można o nim powiedzieć tylko jedno zdanie prawdziwe: on jest. I drugie zdanie ode mnie: gdybym dowiedział się pewnego dnia, że go nie ma, że rzucił wszystko i uciekł gdzieś — nie zdziwiłbym się, ani nie zwątpiłbym w Kościół; lecz widząc go ciągle, jak jest (jak to sztucznie brzmi), tym mocniej wierzę w Kościół”.

Marian Burza.

OFIARY NA TYDZIEŃ MIŁOSIERDZIA	
„Niepokalana”, od p. Chałupczak Piotr, Beaumont	25.00
Ks. prał. Jagła Franciszek, ks. kan. Sroka Józef (od Rodaków z terenu Parafii Polskiej, Auby 59	
Auby	429.00
Leforest	590.00
Pont de la Deule i Asturias	568.00
Courcelles	253.00
Villers	170.00
Razem	2.010.00
p. Kwiczor Waleria	20.00
Ks. kan. Wawrzyńczyk Jan, od Rodaków z terenu Parafii Pol- skiej, Grenoble 38 i Voiron Grenoble, z okazji 3-go Maja	
	254.00
Voiron	142.00
Ks. Łękawa Marian SAC, od Ro- daków z terenu Parafii Polskiej Amiens 80	50.00
O. Szymecki Krzysztof OFM, od p. Wrona Jan, Nerondes	20.00
Ks. kan. Sołtysiak Feliks, od Ro- daków z terenu Parafii Polskiej Nancy 54	
Blemond	215.00
Foug	5.00
Luneville	30.00
Nancy	625.00
Pont-à-Mousson	430.00
Varangeville	85.00
Razem	1.390.00
Ofiarodawcom „Bóg zapłać”.	
Dalsze Ofiary prosimy przesyłać na adres Polskiej Misji Katolickiej 263-bis, rue St-Honoré, 75001 Paris CCP 1.268.75 PARIS.	

GŁOS KATOLICKI

LA VOIX CATHOLIQUE

263-bis, rue Saint-Honoré, 75001 Paris.

Telefon: 073-37-69

Konto pocztowe PARIS 12.777.05

Dyrektor: Ks. E. SZYMECZKO O.M.I.

Redaktor: Ks. L. BRZEZINA O.M.I.

Administrator: Ks. J. NIERUCHALSKI O.M.I.

N° d'autorisation: 36.888

Imprimerie des Editions de Marie Immaculée — 29, Avenue du Général-Leclerc

77260 - LA FERTE-SOUS-JOUARRE.

LA VOIX CATHOLIQUE

HEBDOMADAIRE DES EMIGRES POLONAIS

7 NIEDZIELA WIELKANOCNA (Rok C)

26 maja 1974

Chrystus modli się za swoich Apostołów. Modli się też za wszystkich, którzy dzięki słowom Apostołów uwierzą w Niego. Aby oni wszyscy stanowili jedno i to taką jedność, jaka istnieje między Ojcem i Synem. Wspólnota Boga z człowiekiem! Dzięki niej ludzie uwierzą, że Ojciec zesłał Syna na świat.

+

Antyfony na wejście Ps 26, 7-9
Usłysz, Panie, głos mój, którym wołam. Do Ciebie mówi serce moje: szukam, o Panie, Twojego oblicza, oblicza Twojego nie kryj przede mną. Alleluja.

+

Panie, który wstawiasz się za nami do Ojca, zmiłuj się nad nami.
Chryście, który pragniesz, abyśmy stanowili jedno, zmiłuj się nad nami.
Panie, który trwasz z nami poprzez wieki, zmiłuj się nad nami.

+

Modlitwa

Panie, wysłuchaj łaskawie nasze błagania, abyśmy wierząc, że Zbawiciel rodzaju ludzkiego przebywa wraz z Tobą w chwale Majestatu, zrozumieli również, że zgodnie ze swą obietnicą jest On wśród nas aż do skończenia świata. Przez Pana naszego.

Modlitwa nad darami

Przyjmij, Panie, modły twych wiernych oraz ofiarę, którą składamy, abyśmy przez te święta liturgie, sprawowaną z oddaniem, doszli do chwale niebieskiej. Przez Chrystusa.

Antyfony na Komunie

J 17, 22
Ojciec, — mówi Jezus — proszę, aby stanowili jedno, tak jak my jedno stanowimy. Alleluja.

Modlitwa do Komunii

Wysłuchaj nas, Boże i Zbawicielu, abyśmy niezachwianie wierzyli, że mocą twych świętych tajemnic, cały Kościół osiągnie uczestnictwo w chwale, do której wszedł Chrystus, który jako Głowa żyje i króluje na wieki wieków.

CZYTANIE I (Dz 7, 55-60)

Czytanie z Dziejów Apostolskich

Kiedy Szczepan był pełen Ducha Świętego, patrzył w niebo i ujrzał chwałę Bożą i Jezusa stojącego po prawicy. I rzekł: „Widzę niebo otwarte i Syna Człowieczego, stojącego po prawicy Boga”. A oni podnieśli wielki krzyk, zatkali sobie uszy i rzucili się na niego wszyscy razem. Wyrzucili go poza miasto i kamienowali, a świadkowie złożyli swe szaty u stóp młodzińca, zwanego Szawłem.

Tak kamienowali Szczepana, który modlił się: „Panie Jezu, przyjmij ducha mego!” A gdy osunął się na kolana, zawołał głośno: „Panie, nie poczytaj im tego grzechu”. Po tych słowach skonał.

PSALM (97, 1-2, 5-6)

Resp. (1a i 9a): Pan Bóg króluje ponad całą ziemią.

Pan króluje, wesel się ziemio, radujcie się liczne wyspy.
Obłok i ciemność wokół niego, prawo i sprawiedliwość podstawą Jego tronu.

Góry jak wosk topnieją przed obliczem Pana,
przed obliczem Władcy całej ziemi.
Jego sprawiedliwość rozgłaszają niebiosy,
a wszystkie ludy widzą Jego chwałę.

CZYTANIE II (Ap 22, 12-14, 16-17, 20)

Czytanie z Księgi Apokalipsy świętego Jana Apostoła

Ja, Jan, usłyszałem głos mówiący do mnie: „Oto przyjdę niebawem, a moja zapłata jest ze Mną, by tak każdemu odpłacić, jaka jest jego praca. Jam Alfa i Omega, Pierwszy i Ostatni. Początek i Koniec. Błogosławieni, którzy płuczą swe szaty, aby władza nad drzewem życia do nich należała i aby braćmi wchodzili do Miasta. Ja, Jezus, posłałem mego anioła, by wam zaświadczył o tym, co dotyczy Kościołów. Jam jest Odrośl i Potomstwo Dawida, Gwiazda świecąca, poranna”. A Duch i Obiubienica mówią: „Przyjdź!”

A kto słyszy, niech powie: „Przyjdź!” I kto odczuwa pragnienie, niech przyjdzie, kto chce, niech wody życia darmo zacerpnie. Mówi Ten, który o tym świadczy: „Zaiste, przyjdę niebawem”. Amen. Przyjdź, Panie Jezu!

Alleluja (J 14, 18) Nie zostawię was sierotami, powrócę do was i rozraduje się serce wasze. Alleluja.

EWANGELIA (J 17, 20-26)

W czasie ostatniej wieczerzy Jezus podniósł oczy ku niebu, modlił się tymi słowami: „Ojciec Święty, proszę nie tylko za nimi, ale i za tymi, którzy dzięki ich słowu będą wierzyć we Mnie; aby wszyscy stanowili jedno, jak Ty, Ojciec, we Mnie, a Ja w Tobie, aby i oni stanowili jedno w Nas, aby świat uwierzył, żeś Ty Mnie posłał. I także chwałę, którą Mi dałeś, przekazałem im, aby stanowili jedno, tak jak My jedno stanowimy. Ja w nich, a Ty we Mnie. Oby się tak zespolili w jedno, aby świat poznał, żeś Ty Mnie posłał i żeś Ty ich umiłowal tak, jak Mnie umiłowales. Ojciec, chcę, aby także ci, których Mi dałeś, byli ze Mną tam, gdzie Ja jestem, aby widzieli chwałę moją, którą Mi dałeś, bo umiłowales Mnie przed założeniem świata. Ojciec sprawiedliwy. Świat Ciebie nie poznał, lecz Ja Ciebie poznałem i oni poznali, żeś Ty Mnie posłał. Objawiłem im Twoje imię i nadał będę objawiał, aby miłość, którą Ty Mnie umiłowales, w nich była i Ja w nich”.



Jan
RZECZYWIŚCIE
ZMARTWYCHWSTAŁ
Alleluja